

DAWNO TEMU, W ZAPOMNIANEJ KRAINIE

ANITA BUJANOWSKA

Trudno się dziwić współczesnym maluchom, że nie są w stanie pojąć, jak mogliśmy być szczęśliwi, gdy na pomarańcze „rzucone” do sklepu czekało się tygodniami. Jeśli miałabym coś z szarych czasów PRLu przenieść do XXI wieku, to właśnie tę sztukę cieszenia się z małych, prostych rzeczy.

Białystok, kamienica przy ulicy Ostrowskiego, godzina 18:00, mroczne listopadowe popołudnie. Na podwórku, między blokami, na żeliwnym, wyszlifowanym od niebezpiecznych (jak powiedziałyby każda mama, załamując ręce) wygibasów, trzepaku trwa przedstawienie: dwie dziewczynki wiszą z głowami w dół, nogami oplatając rurę trzepaka. Operator światła, Piotrek, kręci pedałami postawionego do góry nogami roweru typu składak. Przy mocowane do koła dynamo rzuca mroczne światelko na akrobatki-amatorki. Przedstawienie, ku uciesze młodych artystek z trzepakowego teatru, właśnie się rozkręca, gdy popis aktorski brutalnie przerywa echo nawoływań dochodzących z okien bloków: „Anita, do domu!” „Monika, do domu!”. To sygnał, że za chwilę „dobranocka”.

To były czasy. Dwa programy telewizyjne, ale i one raczej w teorii niż praktyce, bo przez większą część na ekranie telewizyjnym widniał obraz kontrolny albo esy-floresy oznaczające niespodziewane przerwy w transmisji. Plansza „za chwilę dalszy ciąg programu” – do dziś śni mi się po nocach. Wszystkie dzieciaki dokładnie znały żelazny rozkład jazdy: poniedziałek, program pierwszy – kultowy „Zwierzyniec”, środa – „Tik-Tak”, piątek „Pies Pankracy”. Na niedzielny „Teleranek” trzeba było czekać całe wieki, bo aż całe dwa dni. Czas między tymi czterema programami wypełnialiśmy grą w gumę – ciężko zdobytą, wystaną i wyczekaną przez nasze mamy gumą do majtek (moja była prezentem

na Dzień Dziecka). Kiedy przychodziła zima i krótsze dni, na mrozie wytrzymywaliśmy kilka godzin, wyslizgując, czym kto mógł (sanki były luksusem, najczęściej ich rolę spełniała własna pupa) okoliczne pagórki i grajdołki. Potem zabawy przenosiły się do domu, na tapczan, gdzie łowiliśmy ryby. Połów wymagał kija od szczotki, do którego zaczepiony był sznurek z haczykiem. Rybami były porzrucane na podłodze wokół tapczanu (przepraszam: wersalki) buty całej rodziny. Zwycięzca w nagrodę dostawał oranżadkę w proszku, którą z euforyczną pieczołowitością sypał sobie na dłoń i z apetytem wylizywał pieniącą się i barwiącą język miksturę w proszku. Innym razem fantem było niewiarygodnie stodkie skondensowane mleko z tuby lub wyrób czekoladopodobny z nadzieniem o smaku pomarańczowym, czyli mirabelkowym. Jak ja pamiętam te smaki! I radość z drobnych i niecodziennych smakotyków, jak oranżadka w proszku czy łakocie czekoladopodobne, które na chwilę rozświetlały szarość tamtego życia.

ALE O CO CHODZI?

Dziś ulicy Ostrowskiego już nie ma (patron, jako wyklęty działacz PZPR, trafił na cmentarz historii). Jego miejsce na szyldzie zajął Święty Mikołaj – cóż za ironia losu... Zdaje się też, że coraz częściej powyższy tekst z nieodległych czasów będzie wymagał tłumaczenia, swoistych didaskaliów. Dynamy (rowerowe) – jedyna swego czasu forma prądnicy, zapewniająca rowerowi

oświetlenie; Pies Pankracy – z telewizyjnego programu „Okienko Pankracego”, cieszący się przez dekady olbrzymią popularnością dzieci i rodziców; oranżadka w proszku – kultowy smakotył maluchów, czyli czysta, żywa chemia, na bazie barwników i cukru; wyroby czekoladopodobne z nadzieniem pomarańczowym – jak sama nazwa wskazuje, coś, co miało przypominać czekoladę, nadziane dżemem mirabelkowym, który miał udawać pomarańcze. Mirabelki? Drobne śliwki, bardziej znane pod nazwą ałycza, których praktycznie dziś już się nie jada – przegrały w nierównej walce z dorodnymi, lśniącymi węgierkami, renklodami i nektarynkami, choć są nieprzebrany źródłem witaminy C i rosną dziko, zapomniane przez cały świat. Jednym słowem, nieskalane cywilizacją, niepryskane, czyli naturalne bardziej niż wszystkie produkty z modnych i drogich eko-sklepów razem wziętych... Trzepak – samoobsługowy, osiedlowy odpowiednik dzisiejszej firmy czyszczącej dywany lub odkurzacza Rainbow. Składak? Kij od szczotki (nie mylić z jej prawnuczkim - mopem)? „Zwierzyniec”? Gra w gumę? Wersalka? I tak dalej, i tak dalej...

OPENSPEJS Z UESBE

Tłumaczę z polskiego na polski moje czasy, moją rzeczywistość, moje dzieciństwo. Ale czy kogoś to interesuje? Może dziś bardziej potrzebny byłby słownik rozjaśniający rodzicom, co mówią do nich ich dzieci? Nie ukrywam, że często sama korzystam

Żał mi, że dzieciaki dziś nie bardzo mają czego szukać na tzw. „podwórku”, o ile w ogóle je mają na ogrodzonym szczelnie osiedlu.



z usług tłumacza – mojego kilkunastoletniego bratanka, by zrozumieć, co mówi do mnie pani w openspejsie punktu obsługi telefonii komórkowej, gdy próbuje mi sprzedać nowy aparat albo usługę. Proszę go również o przełożenie na mój język opisu specyfikacji komputera, który zamierzam kupić, bo mimo tego, że jestem sprawna komputerowo (na miarę moich potrzeb), zaczynam się gubić, gdy ktoś chce poznać bliżej moje preferencje odnośnie RAMów, gigów, bajtów i niezbędnej do egzystencji liczby wejść uesbe. A już nie daj Boże, gdy padnie hasło dotyczące routera czy innych sprzętów, będących dla mnie czarną magią.

PRAWO DO NOSTALGII

Czy grzebię we wspomnieniach z mojego ubożego dzieciństwa z rozrzewnieniem, tęsknotą? Czy w ogóle wolno mi nazywać moje dzieciństwo ubogim, kiedy wówczas czułam się szczęśliwa i bogata – i nie byłam odosobniona w tym odczuciu? Wówczas każda mała rzecz cieszyła dniami – a nawet jeszcze dłużej, bo na trwałe pozostawała w pamięci. Była doceniona, zauważona. Pamiętam bardzo dobrze, że nie czułam się uboga, kiedy na gwiazdkę dostaliśmy z bratem jedną pomarańczę do podziału – czułam się wówczas szczególna, lepsza, wyróżniona, bogata.

Czy żał mi tego, że mój syn nie będzie w stanie sobie wyobrazić tego, jak wyglądało moje dzieciństwo – tak jak ja z trudem próbowa-



łam zrozumieć blaski i cienie dzieciństwa moich rodziców, nierozzerwalnie przesiąkniętego traumą wojennych czasów?

TRENDY MAMA

Życie prze do przodu, a ja za nim – i cieszę się bardzo, że mogę być łącznikiem między pokoleniami. Cieszę się, że będę mogła dziecku, a kiedyś wnukom opowiedzieć, jak dorastałam w PRLu – tak jak moi rodzice opowiadali mi, jak było na wojnie. Cieszę się, że smakują mojemu dziecku supermodne i zdrowe (trendy i fit) ciasteczka z płatków owsianych, które w moim dzieciństwie zwane były „kryzyskami” – jak nie było nic słodkiego w sklepie, nasze mamy wymyślały

cuda z dostępnych w domu składników. Mam nadzieję, że kiedyś zaimponuję wnukom własnej roboty ciastem albo wędliną, których dziś ze świecą szukać – a jeśli już jest, to kosztują kosmiczne pieniądze.

Wszystko co dotyczy niewyobrażalnych zmian w historii z upływem czasu staje się modną egzotyką. Może więc usłyszę od dziecka, że jestem trendy mamą? A potem trendy babcią? Może wnuki zaproszą mnie kiedyś do szkoły jako gościa specjalnego, który opowie o historii z czasów kartek żywnościowych. Tak jak dziadek mojej koleżanki, który goszcząc w mojej szkole, wspominał przeżycia z obozu koncentracyjnego. To było tak ciekawe, dalekie,

niewiarygodne, że wszyscy patrzyliśmy na niego w osłupieniu i zachwycie, chcieliśmy go dotknąć, zrobić sobie z nim zdjęcie, a koleżance zazdrościliśmy takiego trendy (sławnego) dziadka.

MATRIX KONSUMPCJI

Jedyne czego mi żal to tego, że jak niemal wszyscy wpadłam w sidła niekontrolowanego konsumpcjonizmu. Uległam gotowym produktom, wszystkorobiącym sprzętom, wszystkomogącym kosmetykom i gadżetom, wszystkomającym zabawkom, wszystkowiedzącym pomocom naukowym. Uległam wszystkiemu, co kosztowało fortunę, ale obiecywało, że ulula, nakarmi, rozbawi, wychowa i wyedukuje moje dziecko, a przede wszystkim sprawi, że mój chłopiec skończy na czymś na kilka chwil dłużej, bym mogła posiedzieć nad zaległym projektem, wysłać maile, wyjąć pranie, wsadzić naczyń do zmywarki. Uległam pędowi, który sprawił, że szukam prostszych rozwiązań, by mieć więcej czasu dla siebie i bliskich. Kolejne samochody w rodzinie, multifunkcyjne piekarniki i zmywarki do naczyń, zabawki z milionem funkcji – to tak naprawdę protezy, które ułatwiają poruszanie się w dzisiejszych czasach. Ale by je zdobyć i utrzymać, muszę pędzić jeszcze szybciej, pracować więcej, a więc coraz mniej fizycznie i psychicznie być obecną w życiu rodzinnym.

I trochę żal, że nie dostrzegamy – biję się w pierś w imieniu większości znanych mi i nieznanych rodziców – tego, że otoczyliśmy się przedmiotami, które... przecież zabierają nas dziecku. Mam czasami odczucie, że dla naszych dzieci staliśmy się przede wszystkim guru od stawiania na nogi (poprzez wymianę baterii) automatycznych zabawek, mistrzami przyciskania kolorowych guzików. A prawda jest taka, że niejednokrotnie bez zaangażowania, myślami będąc ciągle w pracy, naciskamy trąbiące przyciski, udając zaangażowanie w zabawę z naszymi milusińskimi.

Przyzwyczajamy się i pograżamy w tej ucieczce od obcowania z dzieckiem. Pragniemy „dać naszemu dziecku wszystko”, więc posyłamy je na liczne i drogie zajęcia pozalekcyjne. Oczywiście, nie ma nic złego w pragnieniu, by dzieci dobrze się uczyły, były wszechstronnie rozwinięte, odcytane,

obyte z różnymi sytuacjami i atrakcjami życiowymi – by jeździły na nartach, quadach, koniach, grały w tenisa, na fortepianie, mówiły po francusku, angielsku, niemiecku i hiszpańsku... Wierzmy więc, że profesjonalści wyposażą nasze dzieci w nowe umiejętności, ale przyznajmy się bez hipokryzji, że raczej kupujemy sobie w ten sposób ulgę, że zyskamy godzinę, w której nie będziemy musieli organizować dziecku czasu. Nawet gdy kupujemy płyty CD z bajkami, to raczej nie dlatego, że znaną opowieść przeczyta pięknym głosem znany aktor, a nie zacinająca się mama. Raczej – miejmy odwagę to przyznać – po to, by w tym krótkim czasie, wyrwanym dla siebie, tyyyyyle zrobić.

UCIEKAM SKORO ŚWIT

A potem przychodzi weekend, bezwzględny papierak lakmusowy tego, czy chcemy i umiemy być naprawdę z naszym dzieckiem. Ów strach przed byciem sam na sam z własnym dzieckiem – jak to brutalnie, ale trafnie nazwał jeden z moich przyjaciół – prowadzi często do tego, że uciekamy od dziecka przez zabieranie go do znajomych, albo zapraszanie innych dzieci. W supermarkecie oddajemy pociechę do przechowalni z kolorowymi piłeczkami – a nawet jeśli nie, to, wędrując pomiędzy sklepowymi półkami, ulegamy kolejnym zachciankom, tłumacząc sobie, że to dla zdrowia, psychiki, edukacji, poczucia szczęścia z życia, rekompensaty za to, że rodzicom nie dane było żyć w takich czasach, itd. Z wielką ulgą przyjmujemy zaproszenie na kolejny kinderbal albo zapowiedź nowego filmu animowanego dla dzieci (w kinie nie trzeba z dzieckiem rozmawiać).

Ów strach nie ma nic wspólnego z brakiem rodzicielskiej czułości i miłości. Nie chodzi o to, że szukamy pomysłu na dziecko, bo wolelibyśmy w tym czasie leżeć przed telewizorem z kieliszkiem wina w ręku. Wręcz przeciwnie – ten paraliż bierze się właśnie z miłości, ale doprawionej wszechobecną kulturą sukcesu. Tak bardzo się boimy, że nie umiemy dać dziecku tego co najlepsze, że „popsujemy” je, bawiąc się z nim inaczej niż zalecają najnowsze podręczniki pedagogiki, że z ulgą cedujemy odpowiedzialność za rozwój dziecka na zewnętrznych profesjonalistów (choć każdy z nas, trzeźwo stąpających po ziemi wie, że o faktycznym

Smutno mi, że feeria produktów – gadżetów, zabawek, posiłków „ready to use” – rozleniwiła naszą pomysłowość i kreatywność.

poziomie tego profesjonalizmu można godzinami dyskutować).

Smutno mi, że małe rzeczy już tak nie cieszą. Że feeria produktów – gadżetów, zabawek, posiłków „ready to use” – rozleniwiła naszą pomysłowość i kreatywność – a udowodniliśmy niejednokrotnie, że „Polak potrafi” z niczego zrobić coś.

Żal mi tego, że dzisiejsze dzieciaki nie bardzo mają czego szukać na tzw. „podwórku”, o ile w ogóle je mają w wybetonowanym i ogrodzonym szczelnie osiedlu. Otoczeni morzem atrakcji, gier komputerowych, programów TV czy filmów DVD, nie muszą wymyślać i szukać sobie rozrywki na świeżym powietrzu. Rodzice niby kręcą nosem na siedzenie przed monitorem, ale z drugiej strony są podskórnie szczęśliwi, bo mają poczucie bezpieczeństwa, że ich latorośl nie spadnie z dachu, wpadnie pod samochód czy skrzywdzą jej źli ludzie...

WSPÓLNOTA AA

Dzięki tym wartym majątek gadżetom również i my kupujemy sobie przyjemność – chwilę świętego spokoju, która nam się należy jak przysłowiowemu psu buda, po długim, stresującym dniu w pracy. Nasze dziecko rośnie i rozwija się bezpiecznie, samodzielnie, szybko. Jest może nieco odizolowane od realnego świata (bo nie bywa, nie chadza, nie wychodzi – bo i po co?), odizolowane od nas (o czym miałyby z nami rozmawiać?), w słuchawkach słucha swojej muzy, w Internecie czatuje ze swoimi rówieśnikami. Zapewniamy mu dostęp do najnowszych technologii, najlepszych szkół, ciuchów, by niczym nie różnił się od rówieśników z AA (Anglii, Australii, Ameryki, Argentyny czy Austrii), by nie dziedziczył narodowych kompleksów (to specjalność naszego pokolenia); nie przepraszał – jak jego rodzice – że żyje, by był prawdziwym obywatelem świata.

Domowe biblioteczki uginają się od książek amerykańskich guru od psychologii i wychowania, bo za wszelką cenę chcemy

skończyć ze stereotypami, według których nas wychowywano. Zatem adoptujemy jedną z tysięcy metod i eksperymentujemy na własnym dziecku i na samym sobie.

Tymczasem wydaje się, że zimny prysznic albo udział w spotkaniach AA (anonimowych autsajderów) przydałby się nam – rodzicom. Bo przecież takie dylematy to nie znak naszych czasów. Zżerały i będą zżerać wszystkie pokolenia rodziców. Klania się próba dogmatycznego szukania stawiania granicy między dobrem a złem, walka i szarpanina starego z nowym. Jednym słowem odwieczna różnica pokoleń.

Dlatego czasami warto przypomnieć sobie stare powiedzenie „Boże, zatrzymaj ten świat, ja wysiadam”. Wysiąść, wrócić do korzeni, uzmysłowić sobie, że największą wartością jaką możemy dać naszemu dziecku to my sami i wspólnie spędzony czas; to godziny przeżytych rozmów i wspólnie przeczytanych książek; to podpatrywanie siebie nawzajem w różnych sytuacjach; to wspólna zabawa, ale i wspólne nudzenie się, a nade wszystko, to nasze wartości i dobry wzorzec z którego mały obywatel będzie brał przykład i inspirację. ●



*ANITA BUJANOWSKA

*Autorka jest z wykształcenia absolwentką Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, z życiowej konieczności była menedżerem marketingu w dużych korporacjach, niedawno postanowiła zwolnić obroty i poświęcić się temu, co kocha najbardziej – rodzinie oraz artystycznym pasjom, na które nigdy wcześniej nie miała czasu. Maluje obrazy, rzeźbi, pisze wiersze, rysuje ikony, robi zdjęcia. Jej prace można znaleźć na stronie:

www.anita.balejko.com